

## Prolog

Park Narodowy Gór Dymnych, stan Tennessee, USA

Sobotnie popołudnie 14 września 1980 roku

Omam jej nie przejechał! Wbił hamulec w podłogę i gwałtownie skręcił w lewo. Rzuciło nim w stronę siedzenia pasażera i poczuł, że lewy bok pickupa zaczyna tracić kontakt z asfaltem. Puścił hamulec i skontrował kierownicą, próbując opanować poślizg. Opony wizgały tak, że aż się skrzywił. W końcu, po najdłuższych czterech sekundach w życiu Toma Wintersa, jego oliwkowy Ford Ranger XLT zatrzymał się w poprzek przeciwnego pasa jezdni, z tylnymi kołami zagrzebanymi w żwirowym poboczu.

Nos Toma wypełnił się toksycznym śwędem palonego sprzęgła. Nagle zrobiło mu się bardzo gorąco. Wziął głęboki wdech, zdjął sprany bordowy kaszkiet Memphis Tigers i przetarł spocone czoło, ciężko wypuszczając powietrze.

– O mały włos, jak mamcię Kocham... – pokiwał głową, wachlując się przy tym flanelową koszulą w czerwono-czarną kratę. Gdy na powrót zaczął logicznie myśleć, szok ustąpił miejsca irytacji. Spojrzał w prawo przez boczną szybę, lecz zobaczył tylko czarne zawijasy od śladów hamowania na asfalcie.

– Psychiczna jesteś!? – zjeżył się, wypatrując kobiety, a jego naznaczona siatkami popękanych żyłek twarz poczerwieniała jeszcze bardziej. – Jak chciałaś się zabić, to trzeba było się wieszać, a nie mnie jeszcze w to pakować!

Sposobił się by wyjść z szoferki, lecz nagle podskoczył na dźwięk szarpniętych gwałtownie drzwi od strony pasażera.

– Niech mi pan pomoże! Niech pan zadzwoni na policję! – krzyczała jego niedoszła ofiara.

Kobieta wyglądała, jakby ktoś ją przeczołgał po poligonie marines. Zielona kurtka przeciwdeszczowa, ciemnobrązowe bojówki i trapersy były całe w błocie. Choć dzień był słoneczny, ubrania wisiały na jej szczupłym ciele, wymięte, przesiąknięte wilgocią i pozadzierane.

Normalnie, Tom dałby kobiecie jakieś trzydzieści pięć lat, lecz teraz, patrząc z bliska w wielkie, kasztanowe oczy, widział, jak tkwiące w nich przerażenie wysysało z jej twarzy życie. Jakimś cudem jednak, ta pusta twarz tętniła, nie poddawała się. Strumienie potu płynęły po strzaskanej słońcem pulsującej skórze, a skołtunione brązowe włosy lepiły się do niej. Na dłoniach i twarzy wykwiwały ranki cienkie jak włos, zupełnie jakby ktoś wychłostał ją brzoźowymi witkami.

– Najbliższy telefon jest jakieś sześć mil na północ, w...

– Niech mnie pan tam zabierze, nie ma czasu, chodzi o moje dziecko! – gorączkowała się kobieta. Nie czekając na odpowiedź Toma, wparowała do kabiny i usiadła na brzegu siedzenia pasażera, wychylając się w stronę przedniej szyby, jakby chciała własnymi siłami ruszyć pickupa z miejsca.

– Błagam, liczy się każda minuta! – jęknęła. Choć jej głos był na granicy płaczu, jego desperacki ton nie brał pod uwagę sprzeciwu. Tom miał wrażenie, że gdyby postawił kobietę pod ścianą, znalazła by w sobie dość siły, by wyrzucić go z samochodu i samej usiąść za kierownicą.

Rozejrzał się wokół. Stali na Newfound Gap Road, wąskiej, krętej dwupasmowce przecinającej Park Narodowy Gór Dymnych od Gatlinburga, kilkutyśięcznego, turystycznego miasteczka na północnym zachodzie, do rezerwatu Indian Cherokee na południowym wschodzie. Sezon wakacyjny się skończył i droga była pusta jak okiem sięgnąć. Zewsząd spoglądały na nich góry porośnięte lasem tak gęstym, że niemal zakrywał niebo, a delikatny wiatr niósł ze sobą tylko szum drzew.

Pytania wirowały w głowie Toma. Skąd ona wzięła się akurat w tym miejscu? Od najbliższego wejścia na szlak dzieliły ich dobre dwie mile. Gdzie jej samochód? Dlaczego jest sama? Chciał zadać te pytania, lecz gdy napotkał determinację na jej zmęczonej twarzy naznaczonej strachem, powiedział jedynie:

– Najbliższy telefon jest w Sugarlands, w centrali parku. Zawiozę panią. Proszę zapiąć pas, o wypadek nietrudno.

Cisza wytłumaczyła mu, jak kiepski był to żart. Postanowił nie zadawać żadnych pytań.

Roztrzęsiona kobieta w ubłoconym, górskim ubraniu, która wbiegła przez drzwi i zaczęła mówić równie nieskładnie, co głośno, nie zrobiła wrażenia na młodej blond recepcjonistce w zielonej koszulce z szarym logo parku, która naoglądała się już nieodpowiedzialnych turystów. Podała gorącą herbatę i koc do przykrycia, po czym zadzwoniła na centralę strażników parku narodowego, stacjonujących po sąsiedzku, w tym samym budynku.

Strażnik pojawił się pół minuty po telefonie. Miał na sobie koszulę khaki z krótkim rękawem i dużymi kieszeniami na piersiach, szarozielone, wyprasowane w kant spodnie i piaskowy kapelusz z szerokim, płaskim rondem. Turystka natychmiast zerwała się z miejsca i zasypała go potokiem słów. Funkcjonariusz przerwał jej gestem dłoni i wskazał sosnowy stolik w kącie sali. Kobieta wraz z Tomem udali się doń, strażnik za nimi. Po drodze podziękował recepcjonistce za opiekę. Ta z ulgą wróciła za szeroki kontuar i usiadła na krześle, by z otępiałym wyrazem twarzy wsłuchiwać się w płynącą cicho z radia melodię "Szukającego miłości" Johnny'ego Lee i w myślach odliczać minuty do końca zmiany i wieczornej imprezy.

Sala służyła za recepcję i kasę biletową dla turystów, chcących zwiedzić park lub obejrzeć wystawę lokalnej fauny w pomieszczeniu obok. Światło było przyciemnione, lecz mimo to, szkielec nagich krokwi rzucał mozaikę cieni na wnętrze spadzistego dachu z lakierowanych sosnowych desek. Poza kilkoma osobami, przeglądającymi widokówki na obrotowym standzie, sala pełna ściennych fotografii i świadectw historii parku zionęła pustkami.

Strażnik usadowił się na krześle. Tom Winters kiwnął głową w jego stronę, znali się. David Gallagher mieszkał w Gatlinburgu i pracował jako strażnik parkowy od ponad dziesięciu lat. Żona, dwóch dorastających synów. Poczciwy człowiek. Tom ucieszył się, że akurat na niego padło.

Nazwisko strażnika widniało na przypince na lewej piersi, mimo to się przedstawił. Tom spojrział wyczekująco na kobietę i w końcu usłyszał jej nazwisko: Annabelle Gibson. Mundur, podkreślający postawną sylwetkę Gallaghera, i twarz, skryta nieco w cieniu

kapelusza, podziałały chłodząco na jej temperament. Odpowiadając na pytania siedziała skulona, ściskając w dłoniach zimny już kubek z resztkami naparu. Tomowi zrobiło się jej żal.

– Od początku, panno Gibson. W którym miejscu pani syn odłączył się od grupy? – spytał Gallagher.

– Nie odłączył się, mówiłam już. Zostaliśmy zaatakowani przez dwa czarne niedźwiedzie. Szliśmy we czwórkę, razem z parą młodych ludzi, których poznaliśmy na szlaku. Byliśmy mniej więcej w połowie drogi na górę Le Conte. Dopiero co minęliśmy Jaskinię Ałunową, z prawej strony las prowadził w górę, z lewej w dół. I tam właśnie, z góry zeszły te niedźwiedzie. W tej gęstwinie nie było możliwości ich zobaczyć z daleka, zaskoczyły nas.

– I co było dalej?

– Każdy zadziałał instynktownie, rozbiegliśmy się we wszystkie strony. Trzymałam syna za rękę i bieглиśmy na przełaj, lasem w dół. Oba niedźwiedzie biegly za nami. W pewnym momencie syn wyrwał mi się i pobiegł w bok, a niedźwiedzie za nim. Kiedy próbowałam go gonić, jeden z niedźwiedzi zatrzymał się i podniósł na tylne łapy, jakby chciał mi zagrozić drogę...

Tom i David spojrzeli po sobie. Gallagher pogładził się po siwiejących wąsach i gładko ogolonej, kwadratowej zuchwie. Zdjął kapelusz i położył go na stoliku. Rozczesał dłonią przyciśnięte włosy: były falujące, ciemne, także przesiane niemi siwizny. Nachylił się i wsparł przedramiona o blat.

– Panno Gibson... ataki czarnych niedźwiedzi na ludzi praktycznie się nie zdarzają: nie zabiły ani jednego człowieka w całej historii istnienia parku. A pani chce mi powiedzieć, że niedźwiedzie nie tylko was zaatakowały, ale zrobiły to w sposób skoordynowany i z konkretnym celem?

Annabelle Gibson zacisnęła zęby i uciekła wzrokiem przed jego czarnymi oczami, spoglądającymi na nią spod krzaczastych brwi. Przez chwilę wpatrywała się w dal, aż w końcu potrzaskała lekko głową, odpędzając rosnącą w oku łzę.

– Może mnie pan uznać za wariatkę, nie obchodzi mnie to. Wiem tylko, że gdzieś tam, w górach, jest mój dwunastoletni syn, osaczony przez dzikie zwierzęta. Proszę tylko, jako matka, żeby go pan odnalazł.

Gallagher nie spuszczał wzroku z Annabelle, szukając czegoś w jej spojrzeniu.

– Mogłaby pani opisać syna?

– Ma cztery stopy jedenaście cali wzrostu, szczupły, oczy jasnoniebieskie, włosy blond, zaczesane z przedziałkiem. Ma na sobie brązowy sweter, czarną wiatrową kurtkę z kapturem, spodnie moro i brązowe trapery. Na parkingu przed wejściem na szlak stoi mój samochód, mam tam jego zdjęcie i rzeczy.

Strażnik spojrział na zegarek: wskazywał trzecią dziesiątą po południu.

– Tom, zajmiesz się przez chwilę panną Gibson? Zaraz wrócę. Heather, bądź tak dobra i podaj pani kubek gorącego kakao. Ja stawiam – powiedział, przechodząc obok blondynki za kontuarem.

Udał się do dyspozytorni strażników parkowych, chwycił radio i połączył się z posterunkiem policji w Gatlinburgu.

– Cześć Jenny, tu Dave z Sugarlands. Mam awaryjną sytuację: dwunastoletni chłopak zaginął w górach w okolicy jaskini ałunowej. Możliwe, że został zaatakowany przez niedźwiedzie. Potrzebuję oddziału z psem tropiącym, przyslij tylu ludzi, ilu dasz radę. Trzeba znaleźć chłopaka przed zachodem słońca.

– Chryste, Dave... już się robi. Trzymaj się.

– Dzięki, Jenny.

Gallagher wszedł na posterunek i streścił sytuację siedzącym tam strażnikom: ci od razu porwali za plecaki ze skompletowanym rynsztunkiem ratunkowym. Gallagher wrócił do Annabelle Gibson, która siedziała tyłem do niego, z głową wciśniętą w ramię Toma Wintersa. Ramiona drżały jej w szlochowych spazmach. Strażnik chrząknął.

– Wezwałem wsparcie. Najdalej za pół godziny wyruszymy na poszukiwania. Nie spoczniemy, dopóki nie odnajdziemy pani syna.

– Dziękuję – powiedziała Annabelle, rozcierając łzy.

„Panno Gibson... jeżeli sprawy rzeczywiście wyglądały tak, jak je pani opisała... proszę tylko, by na wszelki wypadek przygotowała się pani na najgorsze”.

Gallagher przeżuł tę myśl w głowie i przelknął ją w milczeniu.

\*\*\*

Kolumna trzech biało-niebieskich Dodgy Diplomata na sygnale i dwóch ciemnozielonych Jeepów CJ-5 wjechała na parking przy wejściu na szlak do Jaskini Ałunowej. Funkcjonariusze wysypali się z pojazdów: sześciu policjantów w granatowych mundurach terenowych z tropiącym owczarkiem niemieckim i sześciu strażników z ekipy ratunkowej parku narodowego w szarozielonych mundurach. Przyjechał też David Gallagher wraz z Annabelle Gibson. Pobiegła do swojego wiekowego Chevroleta Impala, wyjęła z walizki w bagażniku zdjęcie syna i jego brudny t-shirt, po czym wróciła do grupy. Gallagher przemawiał w tym czasie do policjantów.

– Kto nie brał nigdy udziału w akcji poszukiwawczej na terenie parku? Dobrze... nazywam się David Gallagher i będę dowodził operacją. Teren parku podlega naszej jurysdykcji i strażnicy będą mieli ostatnie słowo zarówno co do przebiegu akcji, jak i decyzji o jej ewentualnym przerwaniu lub zakończeniu. Powierzacie swoje zaufanie rutynowanej ekipie, znamy tutaj każdy kamień.

– Przed nami około cztery kilometry marszu. Gdy dotrzemy na miejsce, pies powinien podjąć trop na podstawie zapachu ubrań zaginionego, pobranych z samochodu panny Gibson. Jeżeli pies zgubi trop, wyznaczymy sektor poszukiwań, dobierzemy się w pary, policjanci ze strażnikami, i będziemy przeczesać teren w odstępach adekwatnych do warunków jakie zastaniemy. Pytania? Brak. Proszę pobrać wyposażenie z samochodów, ruszamy w drogę.

Funkcjonariusze podjęli plecaki zawierające między innymi rękawiczki i maskę medyczną, szynę, kołnierz ortopedyczny, mapę, kompas, latarkę z zapasem baterii, wodę i suchy prowiant, pistolet sygnałowy, krótkofalówki, cienką kurtkę przeciwdeszczową, apteczkę i wielofunkcyjny nóż. Gabarytowe wyposażenie, takie jak koc czy składane nosze, ratownicy rozdzielili między siebie.

Gallagher obserwował z niepokojem policjantów, ładujących na ramiona ekwipunek, który z ratowaniem życia miał niewiele wspólnego. Dodatkowe kilogramy i ryzyko, a wszystko na podstawie emocjonalnych zeznań rozhisteryzowanej kobiety. Musiał jednak

wykluczyć choćby cień niepewności, dlatego każdy został wyposażony w sztucer z amunicją na niedźwiedzie.

Gallagher spojrział na Annabelle. Nie pozwoliła zostawić się w mieście, groziła, że z nerwów dostanie zawału, wylewu, że ucieknie i będzie szukała syna na własną rękę. W końcu ustąpił. Udało się jedynie wmusić w nią lekki posiłek, po którym była gotowa do drogi, wciąż w brudnym i sfatygowanym ubraniu turystycznym. Do pewnego stopnia strażnik czuł podziw: kobieta, resztkami nerwów i determinacją, utrzymywała kamienny wzrok i twardą postawę. Tylko dzięki temu, że stał tuż obok niej, był w stanie wyczuć subtelne wibracje, zdradzające jej strach o syna.

Tom Winters też chciał pomóc, lecz Gallagher pozostał nieugięty. Winters pojechał więc do Gatlinburga i łatwo można było przewidzieć ciąg dalszy. Tak dużej akcji ratowniczej nie było w parku od dawna, a tak zagadkowej chyba nigdy. Do wieczora cała miejscina będzie huczeć od plotek.

Gallagher dał znak i ruszyli, pies truchtał luzem obok. Strażnicy parku narzucili ostre tempo, lecz początek szlaku na to pozwalał. Przekroczyli dwa mostki i szli wzdłuż strumienia, mijając połacie martwego lasu iglastego i brzozy żółtej. Słońce już schowało się za zboczem po ich prawej stronie i las spowił całun cienia. Uschnięte pnie obserwowały ekipę ratunkową z ponurą dezaprobatą. Nawet gładka kora brzozy straciła swoją kremowo-szarą barwę, wtapiając się w labirynt gasnącego brzozy i czerni.

Temperatura odczuwalnie spadała, a w powietrzu pojawiła się wilgoć wypełniona kojącym zapachem igieł.

Po około dwóch kilometrach, ekspedycja dotarła do pierwszej przeszkody: wielkiego głazu zwanego Łukiem. Erozja wydrążyła w jego wnętrzu tunel, którym prowadził szlak. Skuleni szli gęśiego po wilgotnych, kamiennych schodkach, wspierając się o pręt wbity wzdłuż ściany po lewej. Spocona skała odpowiadała na każdy krok delikatnym echem.

Dalej ścieżka wystrzeliła w górę, prowadząc ich przez gęsty, iglasty las. Szli po zachodnim zboczu i błękit nieba pojawiał się co jakiś czas po ich lewej stronie. Rozmowy umilkły, każdy skupił się na swoim oddechu. Tylko owczarek niemiecki szedł żwawo bez smyczy, zadowolony, z wywieszonym językiem. Był tak wytrenowany, że można było bez obaw puścić go samopas nawet w parku narodowym.

Na tym etapie dała o sobie znać różnica w kondycji fizycznej strażników i policjantów: kolumna wyraźnie się wydłużyła, a Gallagher szedł na jej czele. Obejrzał się, szukając wzrokiem Annabelle Gibson. Choć nogi ją niosły, strażnik miał wrażenie, że jej głowa nie do końca się z nimi zgadza.

W końcu wynurzyli się na chwilę nad linię drzew, do skalistego, porośniętego gdzieś tam twardej, sucholubnymi krzewami punktu, z którego na wschód, południe i zachód rozciągał się widok na spektakularny łańcuch Gór Dymnych. O tej porze dnia widać było wyraźnie, czemu zawdzięczają swoją nazwę. Choć porośnięte sosnami szczyty kąpały się jeszcze w słońcu, to tuż pod nimi rysowały się już granice między światłem, a cieniem. Doliny przykrywała subtelna mgiełka, a w wielu miejscach wilgoć szła leniwie ku górze, jak smugi dymu. Wyglądało to, jakby cały masyw górski powoli wypuszczał z płuc powietrze w mroźny dzień.

– Nie zatrzymujemy się. Mamy mało czasu – uciął Gallagher i ruszył nie oglądając się za siebie.

Kiedy doszli do Jaskini Ałunowej, Gallagher pokiwał głową z uznaniem nad siłami natury. Robił tak zawsze, mimo tego, iż był tu setki razy, a ponadto nie była to prawdziwa

jaskinia, lecz potężny nawis skalny. W czasie wojny secesyjnej, konfederaci wydobywali tu saletrę na proch strzelniczy. Kiedy losy wojny odwróciły się na niekorzyść, pod przeszło czterystustopową, szarobrazową, poszarpaną skałą, wysoką na ponad sześćdziesiąt stóp i wypuszczoną do przodu na ponad trzydzieści, znajdowały schronienie całe oddziały „południowców”.

– Jak długo jeszcze? – spytał Gallagher na postoju. Oddychał głęboko, lecz płynnie. Pot ściekał mu po czole, podobnie jak wszystkim, lecz zdawał się tym nie przejmować. Oczy całego oddziału, policjantów i strażników parku, utknęły w twarzy Annabelle.

– Jakieś dwieście, trzysta jardów stąd – powiedziała i wypuściła powietrze, wewnętrznie się uspokajając.

– Wszystko będzie dobrze, panno Gibson – Gallagher położył rękę na jej ramieniu. – Pani syn na pewno jakoś sobie poradził. Jest pani w gronie zawodowców, znajdziemy go.

Annabelle uśmiechnęła się blado i uniosła smutne, kasztanowe oczy na strażnika. Miała spiczasty nos, wąskie usta i zapadnięte policzki. Gallagher zastanawiał się, czy były takie zawsze, czy dzisiejsza trauma wyssała z nich witalność. Annabelle wyglądała jak zdewociała, okrutna pani dyrektor z katolickiej szkoły dla panien. Strażnik pomyślał, że w innych okolicznościach chętnie zaprosiłby ją na kawę. Miała w sobie upór i specyficzne piękno... Gallagher stłamsił w sobie te myśli. Że też przyszły mu do głowy w takiej chwili...

– Ruszajmy więc – zarządził. Chwilowy odpoczynek dobiegł końca. Wszyscy objuczyli się plecakami, policjanci zarzucili na ramiona karabiny i cała kolumna znikła w lesie.

Z prawej ograniczało ich drzewiasto-krzaczaste zbocze, a z lewej stromy spad z chaotycznym gąszczem. Annabelle tym razem szła przodem, obok Gallaghera. Nagle zatrzymała się.

– To tutaj – rzekła, a policzek zadrżał jej bezwiednie.

Gallagher wyjął z plecaka foliowy worek ze zwiniętym chłopięcym t-shirtem w środku. Opiekun psa wziął zwierzaka na smycz. Przejął pakunek, wyjął koszulkę i dał owczarkowi do powąchania.

– Tędy zbiegliśmy w dół – powiedziała Annabelle.

– Formujemy szpicę, na przemian policjanci i strażnicy, odstępy: dziesięć stóp. Prowadzi nas psi nos. Rozglądajcie się za śladami – zaordynował Gallagher. – Pamiętajcie, że według opisu panny Gibson, możemy natknąć się na agresywne baribale. Jeżeli wypatrzycie jakiegoś, weźcie go na cel, ale nie strzelajcie bez rozkazu.

Funkcjonariusze rozciągnęli kolumnę na ścieżce, aż uzyskali właściwe odstępy między sobą. Policjant z psem, Gallagher i Annabelle ustawili się w środku i pierwsi ruszyli w dół zbocza. Po nich zaczęli schodzić kolejni, stojący po ich prawej i lewej stronie.

Na tej wysokości zbocze porastał gęsty las mieszany. Wiele młodych drzew próbowało szczęścia w walce o światło, tylko nielicznym udało się w pełni rozwinąć. I tak skarłale drzewa wymieszały się z zuchwałymi krzakami formując gęstwinię, w której trudno było się poruszać. Gallagher przypomniał sobie strupy grubości włosa na twarzy i dłoniach Annabelle i opowieść o panicznej ucieczce przed niedźwiedziami nabrała wiarygodności. Zaniepokoił się.

Pod stopami grunt był usiany dywanem zeschniętych igieł i liści, połamanych gałęzi oraz zmurszałymi pniami. W wielu miejscach przebijały się połacie mchu. Zaledwie kilka godzin po zdarzeniu, przy tak dobrej pogodzie, musieli prędzej czy później usłyszeć...

– Mam ślady – odezwał się jeden ze strażników po lewej.

– Korygujemy trasę, by pies był jak najbliżej tropów. Utrzymujcie odstępy między sobą i miejcie oczy otwarte – zaordynował Gallagher.

Ptaki siedzące w koronach najwyższych drzew spoglądały na przesuwaną się klinowy szyk poszukiwaczy i skrzeczając plotkowały, czemuż to ludzie tak wnikliwie studiują poszycie lasu. Niebo z wolna ciemniało na horyzoncie, zwiastując niechybny kres ptasich pogaduszek.

– Poznaję ten uskok – wskazała Annabelle. – Wkrótce dotrzemy do miejsca, gdzie niedźwiedzie nas rozdzieliły.

– To dobrze. W lesie niemal od razu po zachodzie słońca zapada zmrok. Mamy jeszcze godzinę, półtorej dziennego światła – powiedział Gallagher.

Ślady nie pozostawiały wątpliwości: dwa czarne niedźwiedzie i dwie pary ludzkich stóp. Skończyły się przelewki. Poszukiwacze w milczeniu schodzili w dół, co bardziej nerwowi odruchowo sprawdzali, czy karabiny są naładowane, a nieodłączne policyjne kabury z bronią krótką na pewno są na swoim miejscu.

Przez głowy przemykały nieposłuszne myśli. „Durny ten Gallagher, po co ją tu zabierał? Żeby mogła sobie popatrzeć na rozszarpane zwłoki dziecka? Tylko hysterii tu brakuje. A kiedy babka wróci do siebie to nas pozwie, na pewno. No i po co ten cały cyrk z policją i bronią? Niedźwiedzie pewnie trzeba będzie odstrzelić, ale żeby brać ze sobą aż tyle ołowiu? To nie Wietnam, tylko Tennessee, na litość boską!”

– Tu się rozdzieliśmy. Tam pobiegł Terry.

– Kto?

– Terrence. Mój syn.

„Idiota ze mnie...”, pomyślał Gallagher.

Poszukiwacze zmienili kierunek: skrzyli w prawo i poszli w poprzek zbocza, na północny wschód. Ślady urywały się i pojawiały na nowo, ale owczarek trzymał trop.

– Teeereence!

– Tee-ryy! – Wołali go, lecz odpowiadało jedynie echo.

Czas mijał. W pewnej chwili trasa poprowadziła ich w górę, aż doszli do grani, przecięli szlak Byczej Głowy prowadzący w stronę Gatlinburga i kontynuowali na przełaj w dół, na północ. Nastroje Gallaghery i ekipy ratunkowej opanowywał mrok taki, jaki pochłaniał niebo.

Wysiłek dawał się we znaki, więc korzystając z ostatnich promieni słońca Gallagher zarządził dziesięciminutowy postój. Stało się jasne, że przyjdzie im przedzierać się przez las po zmroku, trzeba było odpocząć i się przygotować.

– Dave, mogę cię na chwilę prosić? – zapytał nieśmiało jeden ze strażników, krępy blondyn Tim Kowalski. Odciągnął Gallaghery od Annabelle i zaczął mówić przyciszonym głosem.

– Coś mi tu śmierdzi, Dave. Powinniśmy byli znaleźć tego dzieciaka już dawno temu. Nie ma możliwości, by dwunastoletni chłopak był w stanie uciekać przed dwoma niedźwiedziami tak długo, nawet jeśli potrafi zasuwać jak zając.

Gallagher rozejrzał się wokół, przyglądał wąż i popatrzył Kowalskiemu w oczy. Strzyknął śliną na trawę i...

– No dobra – powiedział w końcu. – Jakąś milę wstecz doszliśmy do miejsca, w którym powinno być ciało. Ślady ewidentnie wskazywały, że ktoś tam leżał na plecach otoczony przez niedźwiedzie. Nie było jednak żadnych śladów walki, krwi, ubrań, niczego, tylko dużo niedźwiedzych tropów, jakby krążyły wokół ofiary. Ślady prowadziły dalej, więc nie kazałem się zatrzymywać, ale coś mnie tknęło. Od tamtej pory, nie było głębokich, częściowych zagłębień w ziemi, tylko równomierne, pełne tropy, blisko siebie. Zupełnie jak gdyby miśki spokojnie kontynuowały pochód, tylko razem z dzieciakiem.

Oczy Kowalskiego znieruchomiały, a twarz przybladła.

– Jesteś pewny?

– Sam popatrz. Odciski jego butów są cały czas obecne, tyle że tym razem, ślady niedźwiedzi są po ich lewej i prawej stronie. Zbieraj chłopaków, idziemy dalej i od teraz trzymamy się blisko.

Niebo pociemniało jakby ktoś zarzucił na nie czarną płachtę. Czołówki rozbłysły, szatkując ciemność wokół drużyny, która niczym gąsienica posuwała się naprzód. Owczarek niemiecki zdawał się być przekonany o tym, w którą stronę należało iść, lecz Gallagher wołał nie ryzykować, przez co tempo marszu spadło z obawy przed zgubieniem śladów. Przynajmniej gąszcz ustąpił miejsca zwykłemu lasowi liściastemu, po którym łatwiej było się przemieszczać w ciemnościach.

– Tee-reence!

– Teeryyy! Odezwij się!

Nocne odgłosy wybijające się z ciszy lasu wytrącały poszukiwaczy z równowagi. Zwłaszcza policjanci stawali się coraz bardziej niespokojni. Rozglądali się nerwowo, wypatrując źródeł hałasu, który odbijał się od drzew i kołował im zmysły. Co prawda strażnicy parkowi bywali o tej porze w dzicy, lecz dziś ich serca pompowały adrenalinę szybciej niż powinny. Wiedzieli już o niezwykłości śladów za którymi podążali i najchętniej zawróciliby. Wszyscy.

Annabelle znikła. Ciałem była obecna, ale zachowywała się tak, jakby jej nie było. Unikała wzroku Gallaghera, nie odzywała się, nie skarżyła. Na ostatnim postoju nic nie zjadła, upiła tylko łyk wody. Zamknęła się w swojej skorupie i strażnik uznał, że czas najwyższy ją stamtąd wydobyć.

– Panno Gibson, czy jest coś co powinniśmy wiedzieć o pani synu?

– Co pan ma na myśli?

– Nie wiem, może przechodził jakiś kurs przetrwania w trudnych warunkach, radzenia sobie z dzikimi zwierzętami? Minęło dobrych kilka godzin, a my cały czas idziemy jego śladem. Cieszę się, rzecz jasna, ale przyznam, że jak na tak młodego człowieka z dwoma niedźwiedziami na karku jest to dość niezwykłe.

Annabelle odwróciła głowę i nic nie powiedziała. Gallagher stracił cierpliwość. Chwycił ją za ramię, przyciągnął do siebie i syknął do ucha:



– Coś przed nami ukrywasz. Nie tylko ja to widzę, więc mów wszystko co wiesz. Trzyście osób ryzykuje życie dla twojego dzieciaka i nie mam zamiaru stracić dzisiaj ani jednego. Gadaj!

– Puszczaj! – Annabelle szarpnęła się, ale łapa Gallaghera trzymała ją mocno.

– Dave, wyluzuj!

– Puść ją, chłopie!

– Tam! Zobaczcie!

Smugi z latarek śmignęły w jedno miejsce.

– Niedźwiedź!

Jeden z policjantów zdjął sztucer z ramienia.

– Nie strzelaj!

Wypalił. Huk rozniósł się po lesie, a kształt stojący w oddali znikł.

– Niedźwiedź... widziałeś ty kiedyś niedźwiedzia? – rozsierdził się któryś ze strażników. – To był jelenń wirgiński, pieprzony mulak białoogonowy! Więcej ich tutaj niż wszy w twojej pościeli, aż dziw bierze, żeś tutejszy!

– Co powiedziałeś?

Światła latarek zawirowały w ciemnościach, migał w nich chaos i strach.

– Spokój!

– Przerwać to, do cholery! – wtargnął Gallagher. – Weźcie się w garść!

– Chłopaki... – powiedział Tim Kowalski ledwie słyszalnym głosem, a mimo to, wszyscy umilkli. – Spójrzcie na wzgórze.

Trzy mulaki. Trzy byki. Dorosłe, około metra wysokości, z wygiętym do przodu porożem i charakterystycznymi białymi łatami wokół oczu i na podgardlu. Stały po kilka stóp od siebie na zboczu przeciwnieległego wzgórza. Obserwowały przez chwilę, niezrażone światłami latarek i ujadaniem psa, po czym, jak na sygnał, odwróciły się i pognały przed siebie znikając ludziom z oczu.

„To się nie ma prawa dziać. Wystarczyło się poruszyć i uciekały, zawsze uciekały. Tych nie spłoszyły światła, pies, nawet wystrzał! Patrzyły na nas jak na intruzów. To się nie dzieje...” Gallagher przecesał włosy, wypuszczając powoli powietrze. Lepki pot szklął się mu na czole, w świetle latarki. Odnalazł wzrokiem Annabelle. Była przerażona.

– Dave, zabierajmy się stąd. To nie jest normalne.

– Nie. Wszyscy broń w pogotowiu. Słyszycie szum? Chyba wiem, dokąd zmierzamy.

W letnie dni, tutejszy klimat przypominał tropiki, lecz teraz, wilgoć wrzynała się w płuca chłodem. W powietrzu unosił się, charakterystyczny dla tych okolic, ostry, piżmowy zapach trującego szaleju. Zbliźali się do Grotto Falls: malowniczego wodospadu, za którym kryła się płytką grota. Za dnia, ciągnęły tu pielgrzymki turystów, lecz w nocy...

Ratownicy szli przed siebie ostrożnie stawiając kroki. Buty ślizgały się na wilgotnym mchu, błocie i kamieniach. Bardziej jednak, żółwie tempo wynikało z tego, że nogi nie chciały prowadzić ich dalej. Wszyscy wyczuwali odprowadzające ich oczy, które połyskiwały to tu, to tam, w zabłąkanych smugach z latarek. Słyszeli porykiwania i brzmiały jak alarm skrzeki, a także... drobne ptactwo śpiewające. Sikorka jasnoskrzydła? W środku

nocy??? Psychoza strachu opanowywała milczących jak mumie ludzi, nie wierzyli własnym zmysłom. Ich dłonie instynktownie szukały bezpieczeństwa spoczywając na kaburach u pasa. Owczarek krążył niespokojnie, oddalał się i wracał, raz piszczał, raz warczał. Zupełnie jakby nadmiar bodźców węchowych pozbawił go kontroli nad sobą.

Szum spadającej wody narastał, aż przerodził się w huk. W końcu dotarli do wzniesienia, zza którego powinien wyłonić się wysoki na niemal trzydzieści stóp wodospad, który wyglądał, jakby wytryskiwał wprost spod drzew. Wszyscy ratownicy byli tu wielokrotnie, potrafili więc wypełnić pamięcią luki, które zamazywał mrok. Połyskująca w świetle księżycy woda wpadała do rozległej sadzawki, a jej granice wytyczały potężne głazy, które oparły się naporowi wody. Kamienisty szlak, do którego dotarli, prowadził aż za wodospad, do grotu, by potem zahaczyć o drugi brzeg zbiornika i iść dalej, w głąb lasu.

Minęli wzniesienie, lecz wodospadu nie zauważyli. Nawet jego huk nie mógł przyciągnąć ich uwagi po tym, co stało przed ich oczami.

Zwierzęta. Całe masy. Siedziały wokół sadzawki, stały w wodzie, tłoczyły się w grotcie. Ptaki gęsto obsadzały gałęzie drzew wiszących nad wodospadem. Gdziekolwiek nie wylądowało światło z tuzina latarek, napotykało lśniące, wpatrzone w nie złowrogo oczy. Czarne niedźwiedzie, kilka gatunków jeleni, kojoty, lisy, rysie, puchacze wirginijskie, szopy, świstaki, nietoperze, nawet polne myszy i inne drobne gryzonie. Zwierzęta, które na co dzień były dla siebie wrogami, zachowywały się, jakby ktoś wyłączył im instynkt. Przynajmniej do tej pory. Teraz, wyraźnie broniąc wejścia do grotu, wpatrywały się we wspólnego wroga.

Pistolety wyfrunęły z kabur, sztucery same wpadły w ręce. Tylko w co mają celować?

– Jezusie i Matko Boska, miejcie nas w opiece... – jęknął Tim Kowalski.

– Już po nas!

– Ta wiedźma! Zwabiła nas tutaj, żeby nas poświęcić w jakiejś szatańskiej ofierze!

– Morda w kubel! – krzyknął David Gallagher. – I niech nikt broń boże nie strzela... wycofujemy się. Powoli i spokojnie.

– A mój syn? – zaprotestowała Annabelle.

– Rozejrzyj się kobieto! – syknął przez zaciśnięte zęby Gallagher. – Módl się lepiej, byśmy sami uszli z życiem.

Szybkonomie jelenie zaczęły okrążyć ich po bokach. Od przodu, pozostałe zwierzęta zbliżały się bezładną grupą, w której środku pewnie kroczyło kilka czarnych niedźwiedzi.

– Ratunku! – krzyknął jeden z policjantów, przekonany, że coś łapie go za nogę. Poślizgnął się na kamieniu i palec jego dłoni odruchowo zacisnął się na spuście.

Strzał wyzwolił w zwierzętach agresję: szarża ruszyła. Pierwsze dotarły ptaki, które chmarą sfrunęły na spanikowanych ludzi.

– Nieceee!!!

– Moje oczy!

– Aaaaaaaa!!!

Kolejne salwy oddane na ślepo dolały oliwy do ognia. Stłoczeni na ścieżce ludzie porzucili plecaki i zaczęli walczyć o życie, jednocześnie krzycząc z całych sił, dając w końcu upust przerażeniu, które wrzało w ich głowach. Konwulsyjne światło latarek wyglądało jak beznadziejny sygnał S.O.S., który nie mógł przedostać się przez szpaler morderczych oczu i

zębów. Owczarek obnażył zęby i skoczył, by szybko zostać osaczonym przez kojoty. Wkrótce jego żalony pisk utonął w fali warkliwej agresji.

Jeleń ścisnął przedramię leżącego na ziemi strażnika i szarpał go jak kukłę. Mężczyzna zdołał sięgnąć po broń i przestrzelił z bliska łeb zwierzęcia. Jeleń rozedrgał się jak rażony prądem i zwałił się na mokrą trawę, bijąc kopytami. Niewiele myśląc, strażnik rzucił się na pomoc koledze, który próbował wyzwolić się z uścisku stojącego na tylnych łapach niedźwiedzia. Bestia zdążyła poszarpać mu plecy i ramię. Jednego z policjantów jelenie zdołały odciągnąć od grupy, a niedźwiedzie rozwlekły jego ciało. Kolejny nadział się na poroże mulaka, który wyszarpnął jego wnętrzności.

Małe ssaki i gryzonie próbowały gryźć osaczonych po łydkach, wchodzić do nogawek, oblażyły tych, którzy nie potrafili utrzymać się na nogach. Ptaki szukały dziobami oczu. Przede wszystkim jednak, były wszędzie i siały panikę hurgotem skrzydeł. Grupa straceńców zaczęła się rozpraszać. Każdy walczył już tylko o siebie.

– Annabelle! – krzyczał Gallagher, opędzając się od ptaków. – Gdzie jesteś!?

W końcu dojrzał kobietę. Odłączyła się od pozostałych i próbowała przebić się przez stado, biegnąc w stronę grotu! Gallagher z krzykiem na ustach kopnął kojota, który zagradzał mu drogę, strzelił przed siebie rozprasząc zwierzęta i ruszył za nią.

– Terry! – usłyszał w końcu jej wołanie. – Terry! Wiem, że tam jesteś!

Wtem jeden z jeleni nadbiegł z boku i staranował kobietę! Rogi wbiły się jej w udo i upadła na kamienie. Jeleń począł szarpać i szamotać się, aż w końcu wyrwał poroże. Wycofał się kilka kroków w stronę środka sadzawki, aby wziąć rozbieg przed kolejną szarżą. Wbita w szok Annabelle nie krzyczała: ze ściśniętym gardłem zaglądała w twarz śmierci, która miała obojętne oblicze jelenia, skapanego w... drżącym świetle latarki!

Padł strzał. Pysk jelenia rozbryznął się w fontannie krwi, cielsko padło bezwładnie do wody. Gallagher chwycił Annabelle za ramię i, krzyczącą z bólu, podniósł.

– Oszalałaś! Zabieram cię stąd!

Spojrzał jej w oczy, lecz to, co w nich zobaczył, miało bardziej maniacki wyraz niż spojrzenie opętanego żądzą mordy baribala. W ogóle zdawała się nie zwracać uwagi na Gallaghera. Odsunęła ręką jego twarz sprzed swoich oczu, spojrzała w stronę wodospadu i zebrawszy resztkę sił, wrzasnęła:

– Teeeerrryyyyy!!!

Opadła nieprzytomna na ramię strażnika.

Po chwili, z grotu za wodospadem wyszedł wystraszony chłopak w asyście trzech czarnych niedźwiedzi. Gallagher spojrzał w jego stronę i jego czołówka oświetliła dziecko.

Rysopis się zgadzał. Blondynek, na oko pięć stóp wzrostu, brązowy sweter, czarna kurtka, spodnie moro. Ubłocony od stóp do głów, ale cały i zdrowy, poza tym, że...

... dłonie i brodę miał umazane krwią. To nie była jego krew. Czyżby zwierzęta go karmiły?

Terrence Gibson miał przestraszoną twarz. Nie był to jednak strach przed zwierzętami. Spojrzał na Gallaghera, jakby to on miał mu zrobić krzywdę, a nie trzy niedźwiedzie, które stały obok. Kiedy jednak ujrzał Annabelle, wszystko się zmieniło.

Na moment oczy mu znieruchomiały, po czym rzucił się pędem i przypadł do matki. Krzyczał, płakał i szarpał ją, łzy wyślubiły korytarze na jego wybrudzonych policzkach.

Niedźwiedzie pozostały na swoich miejscach, Gallagher odsunął się trochę od chłopaka i jego matki, żeby nie drażnić zwierząt. W pewnym momencie młody Terrence chwycił się za skronie, jego twarz zastygła we wrzasku, lecz żaden dźwięk nie wyszedł z jego ust.

Zwierzęta znieruchomiały. Sekundę później rozpierchły się na wszystkie strony w przytłaczającym hałasie. Po niecałej minucie las umilkł, zostawiając za sobą obojętny szum wodospadu i nic poza tym. Ocalała czwórka, trzech strażników leśnych i jeden policjant, trwała w ciszy, jakby w obawie, że jakikolwiek dźwięk sprowadzi zwierzęta z powrotem. Bali się nawet oddychać.

– Czy... czy to koniec? – wybełkotał Tim Kowalski.

– Chyba tak – odparł któryś ze strażników. – Nie wiem, co je wystraszyło, ale bierzmy kogo się da i znikajmy stąd.

Niemrawo rozdzielili się. Roztrzęsieni identyfikowali ciała towarzyszy – nieraz trzeba było je wydostawać spod zwierzęcych truchel.

– Matko święta, Mick...

– Co ja mam powiedzieć Nancy?... Że bóg tak chciał?

– To czary... koniec świata się zbliża.

– Mam Toby'ego! Rusza się!

Dwóch policjantów i strażnik dawało znaki życia. Ci, którzy stali na własnych nogach, wzięli się za opatrywanie rannych.

Tymczasem Annabelle otworzyła oczy. Gdy syn to zobaczył, rzucił się jej z płaczem na szyję. Odwzajemniła uścisk i tkwili tak, złączeni niczym ogrodowe rzeźby. Wtem odsunęła od siebie chłopca, zaczęła zaglądać mu w oczy, włosy, podnosić sweter w poszukiwaniu ran na brzuchu i plecach.

– Przestań, mamó, nic mi nie jest!

Wyczerpany Gallagher oparł się o drzewo. Obserwował ich myśląc, co tu się właściwie stało, dlaczego i... za jaką cenę? Kulejąc oddalił się, by wesprzeć ocalałych towarzyszy.

Annabelle upewniła się, że byli już sami i przyłożyła palec do ust. Terrence zrozumiał.

– Słuchaj mnie uważnie. Musisz mi obiecać, że nigdy więcej nie będziesz słuchał głosów. Rozumiesz? Koniec z tym. To zdecydowanie za daleko zaszło.

– Mamó, ale jak? One po prostu są, słyszę jak mnie wołają, rozumiem je. Nie mogę tak po prostu ich wyłączyć.

Głowa Terrence'a odskoczyła, gdy matka wymierzyła mu policzek. Chłopak spojrzał na nią przestraszonymi oczami. Annabelle odwróciła się dyskretnie, by upewnić się, że nie zwróciła niczyjej uwagi, po czym spojrzała na syna wzrokiem pełnym tłumionej agresji.

– Rozejrzyj się – warknęła po cichu choć jej oczy iskrzyły na granicy wybuchu. – Popatrz wokół i zakoduj sobie dobrze. Wszystko co widzisz, to twoja wina. I tych twoich głosów.

Mdle, szare światło księżyca i płatanina snopów z latarek odsłaniały cmentarzysko trupów: poszarpane ciała rzucone jak szmaty, zdarte płyty skóry, wywleczone na wierzch mięso i wnętrzności, nasiąknięte karmazynem mundury. Truchła niedźwiedzi, jeleni, lisów,

kojotów i dziesiątek innych drobnych ssaków i ptaków. Woda sadzawki lśniła na czerwono. W krzakach, w trawie i na ścieżce prowadzącej do jaskini, w oczy Terrenca zaglądała śmierć. W oddali majaczyły sylwetki ocalałych ludzi, a raczej ludzkie skorupy, które na nogach trzymało jedynie przerażenie i instynkt przetrwania.

– Wszyscy, co tam leżą, oni też mieli rodziny, a teraz ich małe córeczki nie mają ojców – powiedziała gorzko Annabelle. – Wszystko przez ciebie i te twoje głosy. Dlatego zapomnisz o nich, wymażesz z głowy, nie obchodzi mnie jak. Zrozumiałeś?

W płyciźnie sadzawki nieopodal leżał człowiek. Nogi i brzuch miał w wodzie, a tors, ręce i głowę na brzegu, krew z rozdartych pleców barwiła wodę wokół niego. Twarz była do połowy wciśnięta w muł, który wypełniał otwarte usta, lecz jedno szkliste oko tkwiło nieruchomo, skierowane w twarz chłopca.

– To wszystko twoja wina. Ciebie i twoich głosów – wybulgotał trup. Zmieszany z krwią muł wypływał mu z ust i wpływał z powrotem, ale nieboszczyk nie krztusił się. Choć ręce miał rozrzucone bezwładnie, lewą dłoń zacisnął w pięść, po czym wyprostował w Terrenca palec wskazujący.

– Twoja wina.

Chłopak zastygł w przerażeniu. Wpatrując się w zwłoki raz za razem nabierał powietrza, jakby bał się je wypuścić, bo następny oddech nie będzie mu dany. Wtem poczuł, jak matka chwyta go za żuchwę i przeciąga jego twarz w swoją stronę.

– Zrozumiałeś?

Blady Terrence spojrział jej przez ramię, lecz zwłoki w sadzawce leżały nieruchome jak wcześniej. Spojrział z powrotem na matkę i przytaknął energicznie.

– T... ta...ak!

Annabelle poczuła ulgę i wtedy dotarł do jej świadomości przeszywający ból w udzie. Poszarpana rana po ataku jelenia krwawiła i potrzebowała natychmiastowej interwencji.

„Nie. Jeszcze chwila”, zacisnęła zęby matka. Przytuliła chłopaka, pogłaskała po głowie i szepnęła na ucho:

– Już dobrze. A teraz posłuchaj mnie uważnie. Nikt nie może się dowiedzieć o głosach, inaczej rząd cię zabierze i rozkroją cię jak żabę w szkole, żeby zobaczyć skąd się wzięły. Nie chcesz żeby cię rozkroili, prawda?

– Nie.

– Właśnie. Ja też nie. Nie płacz, mama cię obroni, nikt nas więcej nie rozdzieli. Powiem ci, co masz mówić kiedy dotrzemy do miasta. Słuchaj...

Młody Terrence Gibson słuchał. Każde słowo wypalało się jak znamię w jego umyśle. Las, spoglądający na matkę i syna przykrył ich rozmowę hukami wodospadu.